



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebów i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

INDE IRAE

(z Wiktora Hugo: —, „Quatre Vents de l'Esprit")

Wszystko było miłości pełne i zachwytu:
Hymn świata śpiewał z gwiazdami błękitu,
Z kwiatami ziemi, z głębinami morza.
Wielki, wspaniały, śpiewał jak twarz Boża
Duma pod blasków zasłoną ognistą.
Harmoniā wzniosłą, spokojną i czystą.
Wypełniał przestwór. Jak gniazdko ptaszące,
Kiedy dziecina ujmie je w swe ręce,
Miał tony słodkie: czczył i błogosławił...
Lecz nagle szatan, jak chmura się zjawił,
I dźwięki krzyczą, zgrzytają i szyszczą,
Już nie kochają, ale nienawidzą.
Tchnienie miłości w kąsania się mieni;
Przerwana radość jest gradem kamieni,
Które spadają na ciemności ducha;
W hosannie huczy grom; jest żalność głucha,
W tem co chwaliło; na Synai szczyście,
Pregierz się wznosi i czerni w błękitcie,
A strofy dotąd miłości i chwały,
Które się nagle skrzywiły, złamały,
Kształt biorą nowy i rodzą się owe
Geniusze smutne — błyski piorunowe,
Co rozdzierają chmur czarne obłoki:
Jako Izajasz ponure proroki,
Jako Juwenal blade złego katy,
Co ludom karzą drzeć na piersiach szaty;
Taki Dant, wzrokiem straszący, ten, który
Cień nocy czarnych rzeźbił, jak marmury...

GIUSEPPE GARIBALDI.

Na skalistej wysepce Śródziemnego Morza zamknął oczy najpopularniejszy człowiek na świecie, którego nazwisko, znane wszystkim od najwyższych do najniższych warstw społeczeństwa, przedstawiało umysłem szlachetny ideał miłości, poświęcenia, ofiary całego życia, oddanego w służbę ogółu. Urodzony d. 4 Lipca 1807 r., Garibaldi umierał już starcem; złamany cierpieniami, które były skutkiem ciężkich przygód i trudów rycerskiego jego żywota, był już jedynie relikwią przeszłości, wspomnieniem czynów spełnionych, jakgdyby cieniem epoki minionej: a przecież, gdy rozeszła się nagle wieść, że godzina jego wybija, Włochy drgnęły, tknięte bolesnym niepokojem. W Rzymie, w izbie sejmowej, poseł Giovagnoli, autor *Spartakusa*, wstępuje na mównicę i zapytuje rząd: co się dzieje z bohaterem Włoskiego Narodu? Minister Depretis odpowiada, że posłano na wyspę lekarzy, że dla utrzymania komunikacji z łodem oddano do rozporządzenia rodziny statek wojenny; obiecuje buletyny, zawiadamiające lud rzymski z godziny na godzinę o stanie chorego: lecz wkrótce, bo nazajutrz rano, telegraf przynosi lakoniczne rozstrzygnięcie wszystkiego. Garibaldi już nie żyje; dnia 2 Czerwca o ósmej godzinie wieczorem wydał tchnienie ostatnie i leży teraz na marach, okryty białym płaszczem żołnierskim, a straż honorową przy jego zwłokach trzyma oddział żołnierzy marynarki.

Rzym doznał silnego wrażenia klęski narodowej. Sklepy i kassy teatrów, kawiarnie, cukiernie, poczęły się zamykać; czarna flaga została wywieszoną na domach i pałacach, co w miarę rozchożenia się telegramów powtórzyło się w całym kraju. Uczyniły to samo Neapol i Palermo,

Florenca, Turyn, Wenecja, Medyolan, Genua. Chorągiew żałoby publicznej powiała z wszystkich włoskich portów i masztów okrętowych; w Rzymie, Genui i Neapolu nawet giełdy zostały zamknięte.

Nikt nie byłby śmiały oddawać się zajęciom codziennym. Król Humbert, nie wzywając żadnego z dygnitarzy, sam osobiście napisał i wysłał natychmiast na Kaprę depeszę kondolencyjną, gdzie telegraf rzymski słał bez przerwy depesze podobne przez godzin kilka; gdy tymczasem gromady ludzi zapelniły ulice, i jak zwykle bywa przy zgonie ukochanego przez naród człowieka, tłumy nie chciały w śmierć uwierzyć. Oblegano niespokojnie ratusz, otoczono gmach parlamentu, gdzie też izby zebrały się conajprędzej. Za sankcją królewską odroczono najpierw święto Konstytucyi, przypadające nazajutrz, bo Włochy nie mogły w tej chwili radować się z niczego; następnie uchwalono na popołudnie zebranie nadzwyczajne, które też odbyło się z uroczystością wielkiego wypadku. Wszyscy posłowie znaleźli się na swoich miejscach; taki tłum publiczności cisnął się do łóż i na galerie, że wojsko musiało trzymać porządek, a gdy wśród głębokiego milczenia prezes izby, Farini, przemówił, ogłaszając zgon walecznego męża, poświęconego rycerza niepodległości włoskiej, głos jego silnie drżał, a sędziwy generał Fabrizio rozplakał się płaczem głośnym. Cała izba: posłowie i ministrowie, słuchali, stojąc; prezes izby dodał, że sejm zawiesza swoje działania, aż do dnia pogrzebu na Kaprę i uroczystości żałobnej, która odbędzie się w Rzymie, przyczem Naród Włoski na całym obszarze Apenińskiego Półwyspu powinien przywdziać trzymiesięczną żałobę w takiej formie, jaką się nosi po członkach domu królewskiego.

Przyjęto wniosek głosami jednogłosem, jak i następny, aby rząd wniósł zmarłemu pomnik w Rzymie. Prezes ministrów Depretis dodał do tego projekt ustawy, według której, wdowie Gari-

baldego i pięciorgu jego dzieci zostałyby przyznane dożywotnia pensja po 10.000 franków rocznie. Wybrana komisja oddała się natychmiast do biura dla wygotowania referatu z wniosków Izby i podania ich do zatwierdzenia królewskiego, o którym nikt nie wątpił. Mówiono, że depesza króla Humberta wyrażała się jakgdyby słowami syna, który utracił drogiego mu ojca. W izbie, po załatwieniu wyżej przytoczonych spraw pierwszych, wstępowała na mównicę najpierw mowcy i wygłaszali mowy poświęcone uczczeniu zmarłego. Była to jak beatyfikacja narodowa; tylko nie podniósł się żaden głos *advocato diavolo*. Co w życiu tem było stroną ujemną, niedoborem umysłowym lub moralnym, zostało wymazane z pamięci narodu, który pamiętał tylko Garibaldiemu nieograniczoną miłość Włoch i poświęcenie z miłością tej płynące.

Tosamo powtarzało się jednocześnie w ratuszu rzymskim. Ferencio Mamiani, pisarz i myśliciel głęboki, filozof, przemawiał w radzie miejskiej, która wydała odezwę. „Obywatele! ciężki cios spadł na miasto nasze i kraj: umarł Garibaldi! Z Kapitolu, gdzie niedawno jeszcze rozlegały się szlachetne dźwięki jego słowa, czarna chorągiew ogłasza ojczyźnie wielką stratę. Wasze muncypium, wypowiadając wasze uczucia, składa świadectwo wielkiej boleści, którą przejęte jest każde serce rzymskie. Rzym, w którego murach bohater walczył za sławę Włoch, płacze nad jego zwłokami. Imię jego będzie świętem każdemu, kto kocha swój kraj!”

Pod tą odezwą, rozlepioną po wszystkich rogach ulic, podpisane były między innymi trzy nazwiska gorąco katolickich członków rady, zaliczanych do stronnictwa klerykalnego. Ale wszystkie różnice pojęć zacierają się teraz: jednoczono się w uczuciu wszechpotężnem, i ono tylko panowało w tej chwili na całej szerokiej przestrzeni kraju. Dziennik Papieża „La voce della verità” odezwał się z poważną godnością, oddając sprawiedliwość szlachetności charakteru zmarłego, przypominając pobożność jego matki, Róży Raimondi, co prasa liberalna, a więcej: naród cały, przyjął z wdzięcznością wielką i można powiedzieć, że zapisała się jedna z wysoce pięknych kart historii włoskiej; wybił się ponad namiętność, interessa, zadrasnięcia bolesne, szlachetny obraz narodu, który umie czcić bohaterów swoich. Jak zaś Garibaldi zasłużył na tę nazwę, jakie były jego zasługi i prawa do wdzięczności ogółu: dość jest wymienić gołe fakta, składające się na życie niczem nieugiętej, niezłamanej energii, oddania całej swej istności jednemu, nigdy z oczu nie spuszczanemu celowi. Syn niebogatej rodziny żeglarskiej, zaciągnął się bardzo młodo do marynarki sardyńskiej, gdzie wkrótce zaznaczył się przez wielką odwagę i wytrwałość na trudy, a zarazem wielką tkliwość uczucia, głęboką litość nad każdym cierpiącym, gorące współczucie dla biedny ludzkiej i złą, pozyskał sobie tę żywą sympatią współtowarzyszów, która potem przez życie całe wiązała do niego tłumy. Namiętna miłość Włoskiej Ojczyzny była drugą cechą młodzieńca: gdy w 1831 r. prąd wypadków europejskich tknął elektrycznie Włochy, on przystępuje do działań Mazziniego, i w 1834 r. skazywany zaocznie na śmierć, musi uchodzić do Francji; przebywa czas jakiś w Marsylii, dając lekcje matematyki żeglarskiej; ale dusza ta ognista nie może wytrwać w takim życiu, które wydaje mu się gnuśnem i samolubnem, a jemu nie godzi się zależeć pola, jemu, który powinien się wyrabiać i kształcić do tej przyszłości, której ideał nosi w sercu i dla której rzuca Europę. Najpierw zostaje czas jakiś oficerem marynarki w służbie Beja Tunetańskiego, następnie w 1836 roku puszcza się do Ameryki Południowej, gdzie wrze walka prowincyj wyzwalających się z pod władzy Brazylijskiego Państwa; oddaje się na usługi Rzeczypospolitej Uruguayskiej, obejmuje dowództwo nad jej armią, leje krew swą szlachetną; lecz rozwija już wszystkie te przymioty wojownika rycerza, przez które miał potem zasłynąć w ojczyźnie, nigdy nie zapomnianej, wiecznie drogiej mu nad wszystko i ściganej miłością snami wygnanej tęsknoty. To też, choć przez lat dwanaście przebywania w Ameryce zżył się niejako z tą ziemią gościnną, choć miał los zapewniony przez pensją, pobieraną od

Rządu Uruguayskiego za waleczne swe zasługi, a przy sercu jego była kobieta namiętnie kochana, Hiszpanka Anita, z którą połączył się w La Plata, trzymając on słuch wyteżony na echo załatwujące ze stron ojczyństw i w 1847 roku udaje się do nuncjusza papieżkiego w Rio Janeiro, ofiarując usługi swoje Piusowi IX. w koło którego skupiały się wtedy nadzieje Włoch. Choć odpowiedź nie przychodzi, on puszcza się na morze w Kwietniu 1848 r., i przybywszy rzuca się natychmiast w wir wojenny. Pod zwierzchnictwem Karola Alberta formuje w Medyolanie oddział ochotników; w dniu 9 Sierpnia bije się z Austryakami jak lew: ale następuje klęska po klęsce, Medyolan kapitułuje i on musi cofać się do Szwajcaryi. Ale nie jest to jeszcze z jego strony złożenie broni. Uszedł tylko z jednego pola walki, aby ukazać się na innem; Piemont przecież już nie wywiesza teraz chorągwi włoskiej, i on namiętny, ognisty, pełen zapału nieugaszonego przez nieszczęścia, występuje w parlamencie sardyńskim przeciw królowi, którego polityki nie może zrozumieć. Lecz oto w 1849 roku Rzym wydaje hasło bojowe, i on tam śpieszy, walczy z Francuzami, którzy oblegają Wieczne Miasto, a gdy jest zmuszony uleść znowu, przerzuca się bohatersko w Neapolitańskie, chce być dla ludności tamtejszej siłą, jakgdyby uderzenia żelaza o krzemień, lecz niestety—na próżno. Ztyłu naciśkają Austriacy, gdy z przodu jest przed nim armia neapolitańska, więc legion jego rozsypuje się i on uchodzić musi przebrany za rybaka. W lesie pod Równą towarzysząca mu wszędzie Anita umiera na jego rękę, a on, przedarłszy się nareszcie do Piemontu, idzie po raz drugi w świat, bo i teraz znowu „szczęścia nie znalazł w ojczyźnie”.

Trzy lata przebywał teraz w Ameryce, żyjąc ciężkiem życiem tułacza, i on, otoczony już świetną aureolą wielkiego wojownika, on, którego głos rozbrzmiewał już na Kapitolu, który prowadził za sobą hufce walecznych, pracuje w mydlarni, potem zostaje kapitanem okrętu kupieckiego, udaje się na nim do Chin i tak pcha przed sobą Syzyfowy kamień żywota, aż, zapracowawszy tym sposobem grosz pewien, zwraca się do Rządu Piemontskiego o pozwolenie powrotu do Włoch. Wraca w 1854 r., ale osiada na samotnej, skalistej wysepce, na Kaprezie, gdzie zakupuje posiadłość i oddaje się spokojnemu życiu wiejskiemu, chowając troje dzieci, które mu zostawiła Anita: dwóch synów: Menotti, Ricciotti i córkę Teresitę. Ale serce jego czeka tylko i gdy polityka Cavoura i Wiktora Emmanuela znowu wywołuje ruch włoski, gdy następuje wojna z Austrią, on natychmiast tam jest; jako generał sardyński, staje znowu na czele legionu ochotników; pod Varese i San-Fermo odnosi świetne zwycięstwa, marzy o wielkich tryumfach Włoch, widzi je zjednoczone i potężne, gdy naraz pokój pod Villafranca kładzie okrutny kres tym nadziejom. Nietylko on, ale cały kraj jest w rozpacz; legenda mówi, że Cavour biegł mile całe bez surduta na sobie, że Wiktor Emmanuel przykładał już do ust lufę pistoletu, a jeden z piemontskich mężów stanu zawołał: — „Dziś plunąłem na moje życie”. Garibaldi przecież chce walczyć bez Francji, a choćby przeciw Francji, iść przebojem na państwo papieżkie; zakłada ostatecznie w parlamencie piemontskim protest przeciw odstąpieniu Sabaudyi i oddala się na Kaprę, ale już teraz jest zdecydowany i rzuca rękawicę losowi. Naczele sławnego legionu: „Tysiąc” wybyskuje też wkrótce w Sycylii; w czerwonej swej koszuli i kalbryjskim wielkim kapeluszu, skupia w około siebie wszystko, co czuje gorąco, i obejmuje w d. 14 Maja 1860 roku w Marsala dyktaturę, d. 27 wkracza do Palermo, d. 21 Sierpnia odnosi pod Regia wielkie zwycięstwo nad armią neapolitańską, d. 7 Września wylądowuje pod Neapolem, a po dwudniowej walce, d. 1 i 2 Października pod Voltorno, zostaje panem Neapolu.

Burbonowie znikają z historii Włoch, których królem zostaje Wiktor Emmanuel, a zwycięzca, tryumfator, składa dyktaturę i oddala się na Kaprę.

Teraz stary lew mógł już sobie powiedzieć: — Odpoczywam.... Ale mało ludzi umie się tak zatrzymać, uczuć, że ich posłannictwo już ukończone, ich dzieł pracy odrobiony, snop ich żniwa użyty: i Garibaldi też nie podniósł się do tej wspania-

łej mądrości. Nie dał mu jej wiek. Pozostał dłużej młodym, niż się godziło; nie widział, że na zegarze czasu ubiegła jedna godzina, że rozsądek każe ideom modyfikować się co do ich kształtu wcielanego w żywe życie. Wojownik nie mógł wymóżyć na sobie, aby szabla rdzewiała mu w pochwie, gdy świat i ojczyzna jego włoska nie dosięgły ideału marzonej dla nich szczęśliwości: nie zdołał być cierpliwym i przyszyły te wypadki smutne, przez które bratnia kula uderzyła go pod Aspromonte. Armia włoska w lecie 1862 r. zagroziła mu drogę do Rzymu, który chciał zdobyć dla Włoch; ranny ciężko w nogę i zatrzymany przez wojsko włoskie, jako jeniec wojenny, lecz się musiał długo, a gdy jesienią udzielono mu przebaczenie i wrócono wolność, on dumnie zaproteutował przeciw pierwszemu i wrócił na Kaprę. Druga wyprawa na Rzym, uorganizowana w 1867 roku, a zakończona przegraną dla niego bitwą pod Mentaną, w której Francuzi zasłaniali Rzym, spowodowała znowu na niego czasową niewolę. Poddał się sam wojskom włoskim, niechcąc oddać szpady swej Francuzom i znowu stał się jeńcem. Szczęście wojenne odbiegło go już teraz, bo i poprzednio w 1866 roku, gdy Król Włoski, pragnąc zdobyć na Austrii resztę posiadłości włoskich, oddał Garibaldiemu dowództwo nad dwudziestu batalionami ochotników, przegrał w Tyrolu bitwę stoczoną nad jeziorem Garda. Fortuna rozstała się z nim niejako pod Aspromonte i już nie chciała więcej wrócić; bo i we Francji, której pośpieszył na pomoc w czasie wojny niemieckiej, oręż jego nie nie dokonał. Dowodził ochotnikami francuskimi; ale były głosy, twierdzące, że powolne jego działanie, czas beczynnie spędzony w Dijon był przyczyną, iż armia niemiecka miała czas posunięcia się poza ważne linie obronne, lecz nie bronione.

Była to już, niestety, starość! starość, która łamie i osłabia, i której też trzeba poddać się spokojnie, jeżeli nie chcemy, aby jej dzieła niewczesne psuły harmonią poprzedniego żywota. Garibaldi powrócił na Kaprę w 1871, ale biedny bohater nie miał i tu zakosztować choćby już tylko słodczych odpoczynku. Córkę wydał za mąż w 1861 roku i ta mieszkła stale w Genui; z synów przecież nie miał po ciechy, szczególnie młodszego, Ricciotti, zubożył go i w 1873 roku położenie jego finansowe stało się bardzo ciężkiem. Kraj chciał go wspomóc składką, chciał mu dać dotacyą wspaniałą, ale on odmówił. Duma szlachetna pozostała mu zawsze i ta obroniła, aby laury na sędziwej jego głowie nie uwiedły. W 1874 r. został posłem do sejmu, w 1875 wjechał, rzec można, tryumfalnie do Rzymu. Było to 24 Stycznia i ludność rzymska przyjmowała go z gorącym zapalem, z nieumniejszonym wcale uczuciem. D. 27 udał się do pałacu sejmowego na Kwirynal i tu król wyszedł naprzeciw niego, wyciągnął do niego ręce i objął jak przyjaciel przyjaciela. Oczy obydwóch napełniły się łzami, Garibaldi miał czule przycisnąć sobie króla do piersi i skłonić głowę na jego ramie.

Lud zgromadzony przed gmachem parlamentu wydawał namiętne oklaski. Byli to dwaj towarzysze wielkiego dzieła i teraz szczęście przepełniło im tak piersi, że przelało się w łzy.

Brakło już wtedy trzeciego wielkiego męża Włoch: nie było już obok nich Cavoura. Ze śmiercią Garibaldiego zniknęła obecna ostatnia gwiazda z tej plejady, z tej dziwnie pięknej grupy szlachetnych, wśród której zajmuje swoje miejsce postać Piusa IX. Były tu tylko wielkie kolizje interesów, ale wszyscy ci ludzie szanowali się i kochali gorąco. Trzeba by też zawołać tu, jak niedawno Tennyson zamysławiający się nad losem cesarzowej Eugonii: — Gdyby Shakespeare żył w naszym wieku, jakizby to dramat stworzył z tych postaci!

Regulacja Tybru w Rzymie była na polu parlamentarnem pamiątkowym dziełem Garibaldiego.

Z żony Franciszki, pojętej już w późnej starości, miał Garibaldi czworo dzieci, z których dwoje umarło: pozostała córeczka Klelia i synek Manlius, którego imię wymawiał w chwili konania. Z Ricciottim, który się puścił na szalone awantury i teraz przebywa gdzieś w Australii, zerwał ojciec i cała rodzina; Menotti jest człowiekiem miernym, i bohater w chwili ostatniej może uczuł żal, że odchodzi ze świata duchem bezpotomny i

a tegol chciał może tchnąć tego ducha w najmłodsze swe dziecko: „Manlio“, „Manlio“, wołał, umierając.

Garibaldi zostawił testament, spisany 17 Września 1881 r., w którym mieści się życzenie, aby zwłoki jego zostały spalone, czego dokonanie przekazywał żonie. Gdyby ona umarła przed nim, pisał w tym testamencie, on-by zrobił to z jej zwłokami. „Pragnę, aby moje i jej popioły złożone zostały do wspólnej małej urny granitowej. Urna ta ma być postawiona za sarkofagiem naszych dzieci, pod cieniem rosnącej tam akacji“, — opiewa daleki testament.

Naród nie uwzględnił tego ostatniego żądania bohatera i postanowił za zgodą rodziny, aby ciało zachowaniem zostało; zwłoki przeniesione będą do Rzymu i prawdopodobnie umieszczone na M. Janiculus. Tam jedynie jest miejsce dla nich, bo szczątki te należą do narodu i młode pokolenia pielgrzymować do nich będą. „Jego imię, mówił nad trumną hr. Alfieri, przemawiając od Izby Senator-skiej, zostało zapisane zgłoskami złotymi na dziejowych kartach Włoch“.

Uroczystość żałobna, która wypadła na sam dzień Bożego Ciała, odbyła się z najwyższą wspaniałością; pompa honorów publicznych połączyła się z oznakami czci i miłości pojedynczych jednostek: wszystkie korporacje, wszystkie stowarzyszenia, wszystkie prowincje i miasta włoskie miały przedstawicieli swoich, i zgromadzenie ludzi było tak wielkie, że mimo bardzo starannie przez rząd urządzonego dowozu, brakło na wyspie żywności. Do braku tego przyczyniła się i burza z ulewnym deszczem złączona przez dwa dni, 7 i 8 Czerwca.

Można powiedzieć, że stanie we Włoszech las posągów bohatera: zaraz nazajutrz po zgonie, postanowiło wzniesienie ich u siebie miast sześć, prócz Rzymu, jako to: Genua, Medyolan, Neapol, Turyn, Palermo, Wenecja. Neapol, Palermo i Turyn zawotały zaraz w pierwszej chwili po 100,000 franków na ten cel.

Największy z żyjących poetów włoskich, Giosue Carducci, napisał wspaniałą odę, której tytuł jest: „Ku czci wielkiego obywatela“.

Garibaldi sam też pisał i wydał kilka powieści: „Cantoni, ochotnik“, „Panowanie Mnicha“, „Ty-siąc“, „Klelia“. Ale są to płody jego starości i wchodzi w dział tych rzeczy, nad którymi powinno rozciągnąć się zapomnienie. Alexander Dumas napisał „Pamiętniki Garibaldeggo“, ale jest to utwór fantazyi, w którym nie można szukać prawdy rzeczywistej.

Garibaldi przeżył lat 75, urodził się w r. 1807. Choć nie był wysoki wzrostem, postać jego czyniła wrażenie nakazujące; rysy twarzy były klasyczne, poważne i tylko duże, piękne oczy łagodziły surowy ich wyraz.

M. I.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ludzie obawiali się tego gołowąsa, tak prawie jak jego pryncypała. Wątróbkę znał Butrym, bo dawniej nieraz nachodził go młokos, wygadując na Wolskiego, a naówczas on tego słuchać nie chciał. Chłopak miał jakąś słabość do Butryma i uprzykrzał mu się ze zwierzeniami. Teraz przyszło na myśl Marcyanowi, że mógłby z nich korzystać.

Ale złapać Wątróbkę nie było łatwo. Mając podostatkiem wszystkiego w zamku, bo z obawy Wolskiego faworytowi jego dostarczano co chciał, nie biegał chłopak często na miasto....

Spotkać się z nim więc mógł tylko przypadkiem, na który czekać musiał. Drugiego dnia, siedząc w oknie u Chai, zobaczył go, biegnącego z przedmieścia, z jakiejś awantury, z batożkiem w ręku, poświsztującego i zaczerwienionego.

Wybiegł więc na przeciw niego.

Wątróbka, zobaczywszy Butryma, kłaniającego się — stanął.

— Chodź się miodu napić! — rzekł Butrym.

Chłopak miał głupi punkt honoru, że do picia zawsze stawał, choć się już zataczał.

— A no — zgodą! — rzekł — wpadając do karczmy. A wy tu dawno?

— Tylko com przybył — odparł Butrym.

— Żałujcie, że tu nie jesteście — zaśmiał się chłopak — u nas teraz mało, że nie bezkrólewie; książę stęka na nogi, a kto mądry jak Wolski, korzysta z tego, robi co chce. On tu pan! Chorążemu za próg wyjrzeć trudno, Wolski mu plecie, co ślina do ust przyniesie, i — drze, a łupi.

Śmiał się Wątróbka. Gdybyście byli z nim do-brze żyli, byłibyście i wy, jak my tu baraszkowali, ale u was harda dusza.

Oj! ten Wolski! psia wiara!

Podano miodu. Wątróbka pił na popis — odrazu, jednym łykiem, a lampką o stół bił tak, że gdyby nie grube zielone szkło, w kawałki-by się rozleciała. Patrzył w oczy Butrymowi, który wąsem tylko poruszał.

— Wolskiemu się dobrze dzieje! — zamruczał.

— Takim jak on, zawsze się dzieje najlepiej — przerwał chłopiec, — od niego się uczyć. Z rodzono-ojca skórę-by zdarł, a sam... skórka na buty!

— Ależ wy u niego w łaskach! — bąknął Mar-cyan.

— Ba! gdyby nie to, że on mnie czegoś musi szczeździć, dawno-bym siedział pod ziemią.

Mrugnął jedną powieką przymrużoną. Butrym mu dolewał, a do gadania zachęcał.

— Cóżecie nowego w tych czasach dokazali? — zapytał — boć pewnie nie śpicie, korzystając z tej swobody.

— Ba! ba! co my dokazali, tego na wołowej skórze nie spisać — zaśmiał się Wątróbka. — Gdyby ludzie po lochach nie zdychali, nie byłoby ich już gdzie pakować.

Nagle Wątróbka, jakgdyby sobie coś przypomniał, utknął, mówiąc, począł patrzeć w oczy Marcyanowi — i zasepił się. Ochota go odpadła od dalszego wywnętrzania się.

— Chorąży chory? — począł Butrym — a co będzie, broń Boże, czego na niego? Skończy się to wasze panowanie.

— Albo — albo — rzekł filuternie Wątróbka. Tak człowiek, jak mój pan, psia wiara, na dwóch stołkach siedzi zawsze.

Pomimo dosyć zręcznego badania Butrym, obawiając się być zbyt natręctwem, z Wątróbką nie więcej dobyć nie mógł nad rozmaite wiadomości pomniejszych, które do niczego nie prowadziły.

Podpoił go dobrze — chłopak się w końcu zapytał: — Będziecie wy tu długo w Białej?

Marcyan naumyślnie mu odpowiedział:

— Czekam tu na mojego brata! I spojrzal w oczy Wątróbcę, który się rozśmiał osobiwszym śmiechem, potrzaskł mu ręką i ze śmiechem tym przedłużonym odszedł od niego. Z tego zachowania się chłopaka wniósł Butrym, że on o losie brata jego wiedzieć musiał.

Szło o to, aby go skłonić do wygadania się; lecz, choć Wątróbka na Wolskiego narzekał i wygadawał, zdradzić go — nie mógł. Do tego potrzeba było jakiejś szczególnej pobudki, zręczności — i, umiejętniejszego może obchodzenia się niż Butryma, któremu żal wielki serce ścisłał i umysł mroczył.

Z Białej się oddalać nie chciał Marcyan, póki-by o losie brata pewności jakiej nie miał. Został więc, zbiedzony, pomiędzy klasztorem a szynkiem, błędząc bezradnie.

Całą pociechę jego było: zrana Mszy Świętej wysłuchać, wypłakać się przy niej, a nawzdychać, potem pójść do o. gwardyana i nazawsze jedno

jego pytanie: — a cóż? — odpowiedzieć: — dotąd nie; wreszcie czatować na zamkowych ludzi i podsłuchiwać.

Nie byłoby go strwożyło próbować dostania się i do zamku; lecz na wypadek, gdyby Wolskiemu tam wpadł w oko, mógłby go tensam los spotkać, co Damazego, a naówczas i tamten-by przepadł.

Miał jakąś nadzieję, choć słabą. Marcyan, że brat mógł żyć jeszcze i że on go potrafi wyzwolić. Lecz nie było się za co zacząć.

Wątróbka raz czy dwa zjawiał się znowu w mieście i zetknął z Butrymem; ale język trzymał ostrożniej za zębami, i nie chciał długo z nim rozmawiać, choć go miodem kusił.

Włóczęgę tak po miasteczku, jednego dnia zasłyszał Marcyan, że chorąży Wolskiego do Słucka wyprawił i że przez dni kilka w Białej go nie będzie.

Z tego czasu postanowił korzystać. Niespodzianie puściwszy się w drogę, pieniędzy mało miał z sobą; musiał więc z pomocą Froima pożyczyc, konia kupionego dając w zastaw, bo bez grosza na zamek iść nie można było.

Wiedział o tem, że gdy Wolskiego w domu nie było, krewni i przyjaciele uwięzionych, przekupowali stróżów i mogli się widzieć z nimi.

Starszego klucznika znał dawniej: postanowił wprost udać się do niego. Obwinawszy się opończą tak, aby nie łatwo twarzy dopatrzeć można, poszedł na zamek śmiało.

Klucznik mieszkał w izbie pod wieżą, która przy samem wnijsciu do lochów, umyślnie dla strażnika była zbudowana. Siedziała ona na pół w ziemi, ale okno miała duże, nad nią w dziedzi-niec wychodzące.

Stary właśnie siedział nad garnkiem piwa, nogi pod siebie na ławę podłożywszy; Butrym drzwi otworzywszy, pozdrowił go.

Na widok jego, poznawszy kto był, Koliba się zmieszał — wstał z ławy żywo i nie mówiąc słowa, na drzwi począł wskazywać.

— Czego wy tu? czego? tu dla was niema nic — mrucał niecierpliwie. Butrym bystro mu w oczy patrzył długo, dobył pięć bitych talarów i na stole położył, nie mówiąc nic. Na widok pieniędzy, Koliba za włosy się pochwycił. Chciwy był i łakomy grosza — a widać było, jak go ogarniała trwoga.

Butrym długo nie mówił.

— Daj mi się widzieć z nim — rzekł w końcu.

— Z kim? z kim?

— Z bratem.

Koliba ramionami ściągnął.

— Jakim? co? tu niema żadnego.

— Jest — rzekł stanowczo Butrym.

— Niema — zawołał Koliba, oczyma czerwone-mi patrząc w niego.

Marcyan wyciągnął rękę ku pieniądзом, jakby je chciał napowrót zagarnąć.

Na starym widać było walkę jakąś ciężką: sapać począł i zżymać się, rzucać. Spojrzał ku oknu, mrucał coś niewyraźnie.

Z ręką nad talarami wyciągniętą Marcyan stał, wpatrując się w niego. Chciwość zdawała się w nim przemagać; rękę posunął ku stołowi i cofnął ją, jakby się sparzył.

Przeżegnał się potem machinalnie, jakby na pomoc Boga przyzywał.

— Brat? jaki brat? zkąd wy wiecie o bracie? — zamruczał Koliba.

— Wiem — krótko odparł Butrym.

Jeszcze chwila trwała niepewność, potem stary pędko ściągnął pieniądze i, ani słowa nie mówiąc, wziął klucz z ławy, poszedł po latarkę i u ognia knot w niej zapalał. Butrym czekał. Skinął na niego milczący stróż i poprowadził za sobą.

Odryglował naprzód pierwsze drzwi, wpuścił wewnątrz Marcyana za sobą. Przed nimi były ceglane wschody mokre i śliskie, które w głąb spuszczać się musieli. Latarka zaledwie na krok przed nimi oświecała stopnie i ściany pleśnią okryte. Powietrze coraz było cięższe do oddychania. Weszli w kurytarz sklepiony, wązki, na którym gdzieś widać było z framug wyglądające drzwi kute. Cisza panowała, gdy się tu dostali, lecz pomimo cichego stąpania stróża, kroki

rozlegały się w podziemiu i z różnych stron głosy odzywać się zaczęły.

Dreszczem one przejmowały Butryma, bo były jakby z drugiego świata jękiem i skargą; a dziwnie różno brzmiały. Zdało mu się, że słyszał naprzemiany śmiech, przekleństwa, błaganie, płacz. Kilka razy, gdy drzwi mijali, doszły go uderzenia w nie, drapanie, jakby wewnątrz ręce czyjeś rozdrzeć je chciały. Głosem tym towarzyszył brzęk głuchy kajdan.

Koliba, oswojony z tem, nie zwrócił głowy, nie dał najmniejszego znaku, żeby to doszło uszu jego. Raz tylko tam, gdzie drapanie pazurami do drzwi głusniej słyszeć się dało, stuknął w nie silnie, a hałas ustał natychmiast, i Marcyan drgnął, bo mu się zdało że tuż coś ciężkiego upadło na ziemię.

W końcu kurtytarza, który się kilka razy zawracał i łamał, Koliba przystąpił do drzwi, na których stał znak jakiś kredą namazany. Przybliżył latarkę do otworu klucza, pokręcił i zwolna wniósł otwór. Kilka wschodów wiodło do głębi. Stróż na ostatnim zatrzymał się, usiadł, ręce na kolanach spartł, a głowę objął kościstymi palcami, latarkę oddawszy Butrymowi.

Ujawszy ją, niepewnymi krokami, po zgnilej śłomie, jakichś okrucinach i obłamach skorup, Butrym począł iść, szukając Damazego. Dojrzeć go nie mógł. W rogu izby, na garści słomy, ujrzał nareszcie zwinętego w kłęb i, jak się zdawało, uśpionego, brata.

Ukląkł przy nim, obejmując go rękami. Nagle, z chorobliwego snu rozbudzony, Damazy porwał się z rozpaczliwym ruchem, jakgdyby bronić się zamierzał, i dopiero, przy słabym świetle latarki, poznawszy twarz brata, rzucił mu się na szyję.

Marcyan, przypatrując się, dostrzegł, że głowę miał poranioną i część twarzy krwią przyschlą okrytą. Ręce też podrapane były i pocięte, odzież podarta.

Kilka dni o chlebie i wodzie, z ranami, w podziemiu takim, z rozpaczą w sercu, mniej silnego człowieka niezawodnieby o śmierć przyprawiły. Damazy żył, choć czuć od niego było gorączkę w oddechu, i oczy miał zdziwale bólem, a na ustach zeschłą pianę, którą wycisnęła boleść.

Dwaj bracia długo przemówić nie mogli. Damazy nie pojmował, jak Marcyan do niego się dostał.

— Na Boga! — zawołał przybyły, — na Boga, nie poddawaj się rozpacz! Widzisz, że się dostałem do ciebie; zrobię, co tylko jest w mocy ludzkiej, aby cię wyzwolić; ale utrzymaj w sobie życie. Stróża przekupię, aby ci dał strawę inną.

— Cóż ty możesz? — wyjąknął Damazy, — nim mnie oswobodzisz, oni tu zabiją. Nikt nawet jęku nie posłysz.

— Nie, nie! — przerwał Marcyan, — sam nie wiem, jak radzić będę, ale życie gotów jestem dać, a uratuję ciebie. Bóg łaskaw: nie rozpaczaj. Pojadę do króla i pojadę do Nieświeża, do hetmana, zabiję tego kata Wolskiego, a wyzwolę cię.

Damazys słuchał z obojętnością rozpaczliwą.

— Wyzwól ją... ją... — rzekł niewyraźnie.

— Jak on cię wziął? — zapytał Marcyan.

— Zasadzili się na mnie w lesie; było dziesięciu na jednego.

— Nie kończąc, ręką uderzył się po nogach.

— Cały w ranach jestem... ale to nic.

Mówili jeszcze, pochyleni ku sobie, gdy Koliba wstał i zawołał niewyraźnie na Marcyana, aby szedł. Nieodebrawszy odpowiedzi, zbliżył się, wziął latarkę i groził już:

— Zamknę!

Zaledwie miał czas trochę pieniędzy, które z sobą przyniósł, rzucić na słomę Marcyana, i brata uściśnąć, zaklinając, aby nie rozpaczal, a już Koliba go za ramię targał i zmuszał do powrotu.

Damazys natychmiast oponęz się podartą obwinął znowu i legł, jakby chciał usnąć. Upojony widokiem tym strasznym, Marcyan poszedł nazad za stróżem, który kroku przyspieszał, niepatrząc na idącego za nim, nie mówiąc słowa. Doprowadził go tak, nie do izby swej, ale do drzwi wiodących w bramę, wyjrzał niemi, czy nikogo nie było, wypchnął za nie Marcyana i gniewnie je za nim zatrzasnął. Szczęściem, we wrotach i na drodze

nikogo nie było, i Butrym mógł z zamku wynieść niepostrzeżony.

Faustysia szła w krosnach, z głową spuszczoną, niema, głucha, z myślami gdzieś na drugim świecie. Od pół godziny może siedziała przed nią matka i wpatrywała się niespokojnie w twarz córki.

Piękny ten kwiatek wiódł w jej oczach. Zaborska, dla której Faustysia była całą nadzieją i skarbem, truchlała codzien, wyraźniejsze upatrując ślady wycieńczenia na bladej twarzy. Mieniła się ona, zmieniała się też obchodzenie się córki z matką. Dawniej była śmiałą i niecierpliwą, odpowiadała jej ostro i skarżyła się; teraz słowa z niej dobyć było trudno, na wszystko zobojętniała, milczała — lub ledwie słowo jakieś z ust jej szeptem się niewyraźnym wyrwało.

Zaborska, czując swą winę, jak najczęściej bywa, gniewała się na tę, którą dręczyła; porywały ją napady szału; lała, groziła, zaciskała pięści, a gdy to najmniejszego nie czyniło wrażenia, zeszkłe serce poruszało się w niej nareszcie.

Była matką, a to uczucie macierzyńskie, choćby je głupota zwichnęła, choćby temperament je przyćmił — zawsze się w końcu odezwąć musi.

Przeraziła się tem, że córkę utracić może. Doktor Dubiski na zapytanie, ze swą zwyczajną obojętnością, odparł: — Złe jest — ale ja na to nie lekarz.

Ruszył ramionami i poszedł. Powołany, przychodził się przypatrywać postępowi i rozwijaniu się choroby — brał za puls, dotykał głowy — a lekarstwa żadnego dawać nie chciał.

Śmiał się ironicznie.

— Tu nie mojego lekarstwa potrzeba.

Łamiąc ręce, zaklinając, prosząc, wymogła na nim Zaborska, że jej w końcu powiedział:

— Ona schnie w niewoli i smutku, acani ją musisz męczyć, katować; ja nie wiem.

Z przestrachu Zaborska nagle zmieniła postępowanie; załamała ręce przed córką.

— Na rany Chrystusowe! — poczęła — mów, czego ty chcesz? Ja przecie nieszczęścia dziecka własnego nie mogę żądać. Mów! otwórz się — zrobię co w mej mocy, nie zabijaj mnie i siebie.

Faustyna na te zaklęcia nawet długo nie odpowiadała — tylko łzami.

— Kochasz tego Butryma — rzekła jednego dnia matka — no, to niechaj przychodzi, byle o tem nikt nie wiedział, bo Wolski nas pozabija.

Sama pójdę. Gdzie go mam szukać? — dodała matka.

Niedowierzała jej w początku Faustyna i nie śmiała zaufa; lecz przekonała się w końcu, że mówiła szczerze.

— Książę nie długowieczny — wszyscy mówią, że nogi już ma jak martwe, a jak od nóg poczyna choroba, to już człowieka na tamten świat wywlecze. Nie zrażaj go, byle nam co zapisał — pójdiesz sobie, za kogo chcesz. Ja ci gwałtu nie uczynię.

W końcu, prosząc już i całując niemal po rękach córkę, Zaborska wymogła na niej, aby jej dała jakie wskazówki, gdzie szukać Butryma. Obiecała go przyprowadzić sama.

Faustysi znowu się życie uśmiechnęło.

Pojednała się z matką.

Działo się to właśnie w tej chwili, gdy Wolski czatował na Damazego, śledził go, osaczał i zasadzkę nań zrobił, aby powracającego, w lesie ująć lub zabić. Wszelkie więc wskazówki Faustysi i poszukiwania matki, która sama na miasto chodziła, szukać Butryma — spełzły na niczem. Nie pokazywał się on wcale, a Zaborska, korzystając z tego, starała się wmówić w córkę, że ją porzucił, że zapomniał o niej, nie mogąc dostąpić i widząc, że starania wszelkie są próżne.

Nie wierzyły temu dziewczę, lecz nanowo smutek i zwątpienie ją ogarnęły. Sama nie wiedziała co myśleć.

Zaborska jak dawniej od Butrymów obu stała na pilnej straży, tak teraz ich szukała i Boga prosiła, aby wyszukać mogła. Ale dowiedzieć się o nich nie było łatwo.

Jak o powrócenie straty, stara Zaborska, która, mimo całej płochości swej, bardzo była, na swój sposób, pobożna, zaofiarowała się, na intencją od-

szukania Butrymów, do św. Antoniego Padewskiego, w kościele Reformatorów.

Poszła tam jednego dnia na Mszę Świętą i właśnie miała klęknąć przy ołtarzu, gdy — jak-by cudem (omało nie krzyknęła) zobaczyła tuż stojącego Marcyana. Chociaż w tej chwili o. gwardyan właśnie ze Mszą Świętą, przed św. Antoniego wychodził, obawiając się, aby Butrym nie wyszedł, sama przybiegła do niego.

— Na rany bożkie, zaklinam — zawołała pocichu — po Mszy Świętej zobacz się ze mną. Mam wielką potrzebę.

Butrym, choć zrozumieć tego nie mógł, przyrzekł, iż czekać będzie.

Modliła się Zaborska już z dziekczynieniem cudownemu patronowi, i zaledwie ksiądz przeżegnał, powstała, idąc do Marcyana, aby go z kościoła wyprowadzić.

Obawiała się jednak, aby ich kto razem nie widział, poszła z nim do celi o. gwardyana.

Nie było go tu jeszcze, mieli więc czas do rozmowy.

— Tyle acanu powiem — żwawo odezwała się Zaborska — że jakem była zawsze przeciwną temu romansowi, brata jego z moją Faustysią, tak widząc że dziewczyna mi schnie — matką jestem. Co mam robić! Niech się kochają, niech się później pobiorą. Słowa nie rzeknę, byle ksiądz nie wiedział.

Słuchał, zdziwiony a poczęści niedowierzający, Marcyan.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Maju 1882 r.

Sezon wiosenny. — Proces Ringtheatru. — Pierwszy salon wiedeński. — Calderon w Burgu. — Die Karolinger Wildenbrucha. — Wystawa Samejedów. — Egipt w panoramie. — Obóz Wallensteina, jako majówka.

(?) Wiedeń miewa sezon wiosenny, nietylko ożywiony, ale prawie gorączkowy, a składa się na to i zwyczaj i ta okoliczność, że wszystko, co żyje, śpieszy użyć miasta, zanim ucieknie na tak zwaną wieś. Więc ciągle codzienna piegrzymka do Prateru, a przez Prater do Freidenau, na wyścigi wszelkiego rodzaju, które trwają kilka tygodni. Z wyścigami połączone są loterye, wystawy kwiatów i mebli, psów i owoców, wystawa Samejedów z przejażdżką reniferami; koncerty najrozmaitsze, skating i nowa panorama bardzo ładna, przedstawiająca Egipt; posiedzenia trzech parlamentów, to jest Izby Posłów, Izby Panów i Wspólnych Austro Węgierskich Delegacji; a do tego wszystkiego przez trzy tygodnie rozprawa w procesie o pożar Ringtheatru; poraz pierwszy międzynarodowa wystawa sztuk pięknych, salon, który się ma powtarzać co pięć lat; ciągle nowi goście w operze i wysiłki wszystkich teatrów, żeby dociągnąć do lata; nie braknie też rozmaitych pomniejszych festynów, obchodów.... słowem, dla próżniaków przyjemne sposobności do przepędzenia czasu. Oczywiście nie wszystkie z wymienionych rozrywek są tylko rozrywkami, lecz z drugiej strony tylko o niektórych warto coś napisać.

Proces o pożar teatru nastrocza trzy uwagi. Dziwne są koleje sprawiedliwości ludzkiej. Dyrektor i dwaj podrzędni officialiści zostali skazani na 4, 6 i 8 miesięcy aresztu, za przestępstwo przeciw bezpieczeństwu życia. Tymczasem przebieg rozpraw utwierdził ogół ludności w przekonaniu, że głównymi winowajcami byli: reżysser, Theatermeister i sekretarz dyrektora; ci zaś nie zostali oskarżeni nawet, lecz tylko wezwani na świadków. Przebieg procesu odsłonił smutną prawdę: oto w stolicy policja, magistrat, urząd budowniczy, straż pożarna, są pod względem służby bezpieczeństwa, ratunku, fatalnie zacołane, zaniedbane, niedołężne. Konieczność reformy zaprzęta wszystkie umysły.

Rzeczoznawcy, jak Laube, stwierdzili: że żaden

teatr, w żadnym oddziale swoim nie powinien być bezwarunkowo oświecony gazem; że gaz jest ciągiem niebezpieczeństwem; że należy wrócić do oświecenia olejnego, lub zaprowadzić elektryczne, oile to już jest odpowiednio udoskonalone. Stwierdzono także, że kurtyna z siatki żelaznej, drucianej nie daje żadnego bezpieczeństwa, ani obrony, ani od ognia, ani od zabójczych gazów wywiązujących się wskutek pożaru. Tylko kurtyna będąca pełną ścianą z blachy stalowej, zwijającej się, zachodząca obu bokami za proscenium, może publiczność od ognia na scenie lub za sceną obronić.

Pierwszy salon wiedeński, protegowany przez dzienniki, liczący kilkaset okazów, ma, oczywiście, powodzenie; lecz mimo wszelkie usiłowania jest to tylko *succès d'estime*. Zimno, jakoś jałowo na wszystkich salach wystawy, nie dlatego, iżby dzieł pięknych nie było, ale dlatego, że są one bardzo nieliczne, a giną w tłumie utworów, które mogą być okazami, ale dziełami sztuki nie są.

Nim usprawiedliwić ten wyrok, należy się najpierw wzmianka *nicobeemym*, którymi, niestety, są artyści polscy.

Rok temu pisałem w *Bluszczu*, prosząc wszystkie pisma o poparcie wezwania: ażeby polscy artyści zawczasu się zgłosili, ażeby się utworzył komitet i t. d. Nietylko że nikt nie zajął się reprezentacją sztuki polskiej, ale artyści sami sobą się nie zajęli. Zdaje mi się, że Towarzystwa Sztuk Pięknych wielce zawiniły grzechem zaniedbania. Przysłali inni dzieła dawne, od dwudziestu i więcej lat znane, a Towarzystwa, o których mówimy, i same wiele cennych dzieł posiadają i z prywatnych zbiorów uzyskać je mogły. Była możliwość, jak chyba jeszcze nigdy i nigdzie, że sztuka polska byłaby otrzymała osobną dla siebie salę. Tymczasem niema nas, niema tutaj, gdzie tryumf był pewny. Mają po jednym ładnym obrazie Brandt, Kozakiewicz, Fałat, ale obrazy te nie są tak piękne, żeby godnie i w zupełności sztuki naszą przedstawiały. Podobno jest obraz Gersona, ale widać w kącie gdzieś zawieszony, bo go znaleźć nie mogłem.

Ze strony artystów Polaków w Wiedniu zamieszkałych jest to zaniedbanie, jeśli nie krzyżującą lekkomyślnością, czy lenistwem, to błędem, a może też i dowodem, że zmuszeni są robić tylko dla chleba, a nie są zdolni pracować dla ducha, dla sztuki. Polska sztuka byłaby, gdyby się wybrany legion był stawiał, tem więcej się odznaczyła, że jest bogata treścią, że promienieje poezją, wykończą pomysły, a nie wysila się na robotę czy-to naśladowania wszelkich przypadkowości natury, co mylnie nazywane bywa realizmem, czy na trudności techniczne, których zwalczanie było zawsze i będzie tylko drogą, środkiem dla sztuki, ale sztuki samej nie daje. Wogóle bowiem, oile wystawa, taka, jaka jest, do wniosków uprawnia, a właściwie to jest celem takich wystaw, żeby okazały istotę artystycznej produkcji każdego narodu — to wystawa utworów nowych, po odliczeniu dawnych, z lepszych dla sztuki czasów, wykazuje jałowość ogólną co do pomysłów, co do poezji; poziom pracy bardzo niski, a tylko dużo rozmaitej sztucznej roboty. Realisci fotografują; impresyoniści wymyślili lamigłówkę, że nie malują rzeczy i ludzi, jacy oni są, ale jakimi się malarzom wydają: więc rzucają na płótno coś podobnego jakby do nieporządnego, powikłanego a luźnego snu; koloryści polują na efekta dawnych mistrzów przez grę barw i światła, nie troszcząc się, ani o prawdę, ani o właściwe zastępowanie techniki do przedmiotu, a już najmniej o sam przedmiot: oto są znamiona i kierunki, o których znawcy (!) a zwłaszcza sami artyści dużo rozprawiają, za dużo, tak, że im dla właściwej sztuki ani czasu nie zostaje, i pojęcie jej zatracają. Najcenniejsi realisci, gdyby nie perspektywa, tak równowaliby rzeczywistemu malarzom chińskim, tak są żmudni i wytrwali w zliczaniu każdej zmarszczki i piegu, — a wolę nawet Chińczyków, bo ci nie kochają się w obrzydliwościach, tak jak dzisiejsi *Zolowie* malarstwa.

Cheć pisać rozprawy o sposobach malowania, możnaby na okazach tej wystawy urabiać teorie, ale chcąc się zachwycić, rozgrzać, zapatrzyć i zadumać, ucieść czy zasmucić, bo te wrażenia nieodłączne są od prawdziwej sztuki — tego wystaw

wa nie dostarcza, albo raczej bardzo skąpo, i ratują jej sławę głównie prace dawniejsze.

Trzeba jednak bądźco bądź, pomijając gymnastykę pędzla i farb, zdać sobie sprawę z tego, co jest, zapytać: coż przecie każdy naród o sobie dziełami temi powiada?

Oto najpierw czyni się spostrzeżenie ogólne, że narody małe lepiej, sympatyczniej się przedstawiają, chociaż wielkie zasobniej; powtóre, że wielkich pomysłów i idei wszędzie braknie; potrzenie, że ten brak jest zasadniczą przyczyną, iż artyści, ażeby go czemś zapłacić, czy zastąpić, wytworzyli sobie kult stron zewnętrznych sztuki, sposobów techniki malarskiej, kult bezwarunkowej wierności w naśladowaniu natury, ciała, kult uprawnienia w sztuce dla wszystkiego co jest, czy-to wstrętne i szpetne, czy chorobliwe lub zwyrodniałe. Na kulcie tym kiedyś prawdziwa sztuka wiele zyska; przysporzy on jej wiele środków, których dawni mistrze nie znali, lubo wielkie i prawdziwe tworzyli dzieła. Tymczasem jest sztuka w ogóle, z wyjątkami oczywiście, gdyż prostopadłych urwisk i przerw w rozwoju ludzkości niema, z wyjątkiem też może i sztuki polskiej, w chwili przejściowej: jałowości i niepewności; sili się, żeby być naturalną, a nie zdoła być prawdziwą.

Ażeby te wyniki myślenia udowodnić, trzeba cały katalog wystawy zanalizować i właściwie ugrupować, a dla czytelników, którzy nie są widzami, byłaby to przecież robota może martwa. Więc raczej przejdźmy się po salach, ot tak *en touriste*.

Francja. Przedewszystkiem uderzają portrety, wdziękiem, wykończeniem i charakterystyką. Piękna jest scena wojenna Bertranda: *Kirassyerzy* unoszący rannego oficera, scena wymowna i silna, z nadto jednak szumnie nazwana jest *Patrie*. Ładnym krajobrazem mglistym jest *Placówka* Dupray'a. W tych dwóch obrazach odezwała się wojna ostatnia. Z historycznych zajmującym jest dawny już obraz *Żyrodysci* od uczy na śmierć wezwani. Fantazją reprezentują Baudry'ego *Apoteoza prawa* i Bouguereau *Narodziny Wenery*. Impresyoniści przesadzają się nawzajem w rzucaniu na płótno szpinaku i jajecznicę w swoich krajobrazach. Realisci gonią za brzydota; na czele Bonnat'a *Hiob*, do którego, jak już wspominałem, gdyby nie perspektywa i mistrzostwo używania farb, mógłby się przyznać każdy chiński malarz, liczący ściśle łuski malowanej ryby: tak tutaj fałdy i zmarszczki skóry są policzone. Wyraz twarzy jest jednak mimo to potężny. Tu również należy Scena w proscenium anatomicznem. Rodzajowych jest mnóstwo, lepiej lub gorzej malowane, zwykle zabawne; sceny humorystyczne i balowe wyborne. Społeczne sprawy bieżące odbiły się w obrazie Roll'a *Bezrobocie górników*, malowanym jakby kurzem kopalnianym, który i wszystkie zrozpaczone lub wściekłe twarze gryzie. Jest to może najcharakterystyczniejszy obraz w oddziale francuskim.

Niemcy zabierają salę równie wielką, lecz wielkiej sztuki i tu zupełnie braknie. Pomagają sobie dawnymi dziełami, jak Pilotego: *Seni nad zwłokami Wallensteina*. Ostatnia wojna i wogóle patryotyzm nie ogrzewa już niemieckiej sztuki. Najwięcej jest scen rodzajowych, z życia ludu, szczegółów jego zabawy i hulanki. Defregger, Knaus, Vautier, Fritz Kaulbach (synowiec), Achenbach i t. d., malują z humorem a często z wdziękiem. Bardzo piękna jest *Lutnistka* młodego Kaulbacha; zwraca uwagę Lindenschmidt *Scena z życia Lutra*. Gabriel Max zrobił sobie żart: nazwał wdzięczną panią niewiedzieć dlaczego, na stosie stojącą, *Dziewicą Orleańską*. Jeszcze nigdy śmierć męczeńska nie przedstawiała się taką bagatelką. Realistom przewodzi Leibl, który po chińsku trzy baby w ławce kościelnej trzy lata malował; a toby z jednego płótna Matejki było kilka tuzinów takich obrazów! Panuje nad oddziałem niemieckim Bismarck, w ubraniu cywilnem, Lenbacha, pyszna postać, olbrzym pod każdym względem, lubo malowaniu daleko do francuskich portretów. Masą, liczbą, pracowitością imponują Niemcy; talentów dużo; zdolność przyswajania sobie zalet sztuki z całego świata: ale pomysłów, poezji mało; tematów szukają przeważnie u ludu — to wielka zaleta.

Austria ma najcenniejsze portrety, Angelego i Mackarta i rodzajowe obrazy np. Schoenna. Szkoła Mackarta goni za jaskrawym kolorytem i kształtami kobiecego ciała, a odznacza się zupełną jałowością pomysłów, obojętnością dla poezji. *Kleopatra* Mackarta malowana jest np. wyłącznie tylko dla nagości kształtów; wszystko inne u niego rzeczą podrzędną. Wszystkie kobiety jego pozabawione są wyrazu, duszy, charakteru.

Węgry, wiemy, że mają Munkaczy'ego; lecz są i inni, którzy wcale nieźle malują konie, sceny ludowe i cyganów. Równocześnie jest w Kunstverinie dużo udatnych rodzajowych obrazów. Ładne są, ale poziom twórczości wogóle niski. Gdyby obok tego kierunku, była i produkcja wyższa, poważna, zyskałyby na tem i te małe prace.

Belgia dostarczyła obraz największy, najpoważniejszy, lubo może nie najlepszy, Gallait'a, *Zaraza w Tournais*. Obraz olbrzymi, praca lat 20 (!). Scena przedstawia wśród okropności spustoszeń przez zarazę, w ludziach i zwierzętach (na pierwszym planie jeden pies zdechły, drugi ogryzający kości ludzkie), *Processyą o odwrócenie zarazy*. Pyszne są postaci; wzruszające grupy, ale całość z nadto „porządnie“ ustawiona, nazimno, przez to wrażenia nie robi. Dotego koloryt jakiś brudny, jakgdyby zaraza i farby już dotknęła. I zresztą przedstawia Belgia, dziedziczka Szkoły Niderlandzkiej i siostra Francji, bardzo obfitą i zajmującą produkcją z tych dwóch źródeł płynącą. W żadnym oddziale nie odbiera się wrażen takiej swobody, takiej pogodnej pracy, jak wobec krajobrazów belgijskich. Widać, że tam bujnie i szczęśliwie praca się rozwija, a szkoda tylko, że z nadto z wolna swoje oryginalne cechy, ze sąsiedzi zawiele na nią oddziałują.

Niespodzianką jest oddział hiszpański. Chęlni on się przeważnie obrazami dawniejszej daty, ale zupełnie wreszcie Europie nieznanymi, i bądź co bądź okazało się, że tam w tym ślicznym kraju, w ojczyźnie Murilla, sztuka znów się budzi, odświeża wielkie tradycje i czerpie z nich. Południowe słońce, gorąca krew, odzywa się w obrazach hiszpańskich.

Jose Casado w obrazie przedstawiającym *Topienie buntowniczych grandów przez króla Aragonii Ramira*, kładzie przed nami cały szereg ściętych głów, z których świeża krew płynie. Pordill'ego sławnym i głośnym jest obraz obłąkanej królowej *Joanny*, towarzyszącej zwłokom męża, Filipa Pięknego. Są to obrazy w wielkim stylu, niemniej jak Verry *Obleżenie Numaney* i Carbonera *Don Carlos w klasztorze*. Widoki hiszpańskie i sceny rodzajowe nie rażą przesadą, choć goreją światłem i jaskrawymi barwami.

To odkrycie odradzającej się sztuki hiszpańskiej, dążącej do wielkich rzeczy, okazującej owoc pracy w akademiach niedawno założonych: to może najciekawszy i najważniejszy fakt z całej wystawy. Mają Hiszpanie w obrazach swoich coś z Calderon'a, ale i coś z Shakespeare'a, a przypominają nieraz siłą w rysach ludzkich Matejkę.

Za to *Włochy*, klasyczna ziemia, jeżeli według okazów wystawy sędzić je można, okazują zupełnie prawie wymarcie, czy zastój twórczości i sztuki. I technika słaba, i zupełny brak pomysłów; zwietrzałe manierowanie, suche, niby akademickie modelowanie bez ducha, bez poezji. Trzeba przypuszczać chyba, że zaniedbali wystawę, bo czyż być może, jak głoszą, że historyczna ziemia sztuki i naród odrodzony, świeżo połączony, zdobywszy ideał politycznego życia, wpadł wogóle w apatyę w sztuce, w kaprysy i karykatury w rzeźbie....

Jałowość cechuje i *Hollandrów*, prócz krajobrazów, zawsze poprawnych. *Duńczycy* i *Szwedzi* odznaczają się też głównie krajobrazami; kochają swoje ziemie. To usposobienie widza dla nich sympatycznie; szwedzkie krajobrazy są nawet bardzo dobre. Oryginalne życie tych ludów, wody, rybacy, bardzo zajmują w ich obrazach, lubo pod względem wykonania, szkoły, szczególniejsze *Duńczycy* bardzo pozostali w tyle.

Wogóle wystawa ta, lubo międzynarodowa, wcale się pod tym względem nie powiodła, iżby naznaczyła jakąś epokę, jakiś rozkwit w europejskiej sztuce, iżby wydobyla jakąś rozstrzygającą

ideę z rozmaitych prądów, które z sobą walczą — raczej o zewnętrzne znamiona i warunki sztuki, niż o jej zadania i istotę. Nie otwiera ona żadnego nowego kierunku, nie dopomaga do zwycięstwa żadnemu z istniejących, lecz daje tylko obraz wierny zamącenia, mnóstwa pracy i doświadczeń, dostarcza obfitego materiału pouczającego, więcej jednak dla malarzy, niż dla publiczności. Nie wykazuje jednak wystawa ani jednego przeważającego geniuszu, któryby na artystów oddziaływał i chwili bieżącej nadawał swoje piętno. Zdaje mi się, że bez przesady można utrzymywać, iż zupełnie inaczej przedstawiałaby się całość — gdyby w osobnej sali zgromadzone były utwory Matejki, Grotgera, Gieryskiego, Brandt'a, Siemiradzkiego, Kossaka, Kotsisa, Lipińskiego, Gryglewskiego i t. d. Byłoby od nich świeże tchnienie powiało przez wszystkie sale; kto wie, czybyśmy nie byli palmy pierwszeństwa odnieśli, pomimo całego wirtuozostwa Francuzów i Niemców. Tem więcej też grzech zaniedbania z polskiej strony.

(Dokończenie nastąpi)

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuskiego.

(Dalszy ciąg)

Dział fauny nie tak bogaty. Na jednym końcu ogrodu wprost przesłoniczonej mieszkanek, stoi olbrzymia ptaszarnia, prawdziwy pałac zbudowany dla wszelkiego rodzaju skrzydlatych gospodarzy; dalej w kilkunastu klatkach, ustawionych jedna przy drugiej, mieszczą się zwierzęta znajdujące się w Kochinchinie: małpy rozmaitego koloru i wielkości, tygrysy, złote bazanty, cietrzewie i bardzo ładne zwierzątka, rodzaj małej sarny, nie większej od wiewiórki; obok mała małpka z rodzaju kockodanów zabawnie podaje łapkę na przywitanie, — uścisk to jednak niezbyt ponętny ze względu na wątpliwą czystość wyciąganej łapki. W bagnistej sadzawce, w trzech czwartych zarosłej wodnymi roślinami, niezwykle szmer jakiś zwraca uwagę zwiedzającego; zapytujesz siebie jakich mieszkańców ukrywać mogą lilie wodne? a pochylwszy się nad baryerą, z łatwością dostrzedz możesz dwa kaimany. Płazy te, nawpół oswojone, w małym swym państwie żyją nader wygodnie, mając codziennie zapewniony, za pilnem staraniem stróża, ulubiony jakiś przysmak. Opuściwszy kaimany, spotykasz, tuż obok nich, również miłe stworzenia. Wpośród ogromnej klatki z grubych sztab żelaznych widać małą chałupkę: to mieszkanie tygrysów. Rząd kolonii utrzymuje zawsze parę tych zwierząt, przeznaczonych na z bogaceniem następnie jakiegokolwiek menażeryi. Codziennie przed zachodem słońca można się przypatrzeć zabawie i karmieniu tych wychowanków. Nagle roztwierają się gwałtownie drzwi chałupki; rycząc wyskakuje samiec, wspina się na zwierzę, a za nim jego towarzysza. Wskutek optycznego złudzenia, oko czas jakiś wpatrzone w drzwi chałupki, nie widzi klatki, w chwili też rzucenia się naprzód tygrysów zimno ci się robi i mimowolnie cofasz się w tył. Cóżby to było, gdyby tak pękły sztaby w klatce! Ale nie pękają, trudno się też oderwać od widoku tych strasznych zwierząt, przy których okazy przedstawiane w europejskich menażeryach zdają się być jakimiś tygrysami z tektury. Tygrys Kochinchinowski jest jednym z najpiękniejszych stworzeń i niewątpliwie jednym z najstraszniejszych; Annamici niesłychanie go się obawiają i zowią go Wielmożnym, a z tej przesadnej obawy w połączeniu z przesadą wynika, iż krajowicę dotknięty szponami tego niezbyt dogodnego sąsiada już się staje człowiekiem zgubionym, gdyż nie powinien, nie może się wyleczyć, chociażby nawet rana

nie była niebezpieczną; i wistocie też prawie zawsze skaleczony umiera... ze strachu.

III. Kawiarnie Saigona. — Dzielnice miasta chińskie i annamickie. — Domy gry.

Powracając z przechadzki przed udaniem się na okręt, zwykle wstępuje się jeszcze do którejś z nadbrzeżnych kawiarni; wówczas można tam widzieć *cały Saigon*. Po skwarze dziennym każdy przychodzi się orzeźwić nad rzeką i pobudzić apetyt używaniem chłodnych napojów.

Gdyby nie rodzaj małych białych jaszczurek (*margouillats*) znajdujących się w obfitej liczbie po domach w całych Indjach i Kochinchinie, które lażąc po ścianach i wokół stołów, łowią muśtyki, można by sądzić, iż się jest w którymś z francuskich portów wojennych. Żywiół towarzyski tensam prawie; cochwila zjawia się jakaś twarz znajoma i natychmiast odnawiają się stosunki przerwane niekiedy od lat wielu. Jedni przybywają pieszo, drudzy ładnymi faetonikami w rodzaju koszyczków zaprzężonych w parę żwawych chińskich kucyków, powożonych przez annamickiego chłopca w białym ubraniu i ponsowym na głowie fularze. Ale ekwipaż trzymać może niewielka tylko liczba wybranych. Szczodrobliwość *księżniczki*, jak żartobliwie nazywają skarb państwa, większej części officerów nie pozwala na ten wydatek; widząc też wysiadającego z powoziku nowego przybysza, czyż nie należy koniecznie zapytać o rodzaj jego zawodu? Tylko urzędnicy z biura administracji krajowej, posiadający — i słusznie, doskonale pensye, mogą sobie pozwolić na ten zbytek.

Urzędnicy biur administracyjnych czas długi składali się z officerów rozmaitych oddziałów marynarki; przed laty jednak kilku nastąpiła reorganizacja tych biur i urzędników wojskowych zastąpiono cywilnymi. Urzędnicy ci, pełniący w Kochinchinie mniej więcej tesame obowiązki, co officerowie biur arabskich w Algeryi, są opatrnością turystów; zwykle bowiem posiadają mieszkania doskonale urządzone i przyjmują gości z serdeczną uprzejmością. Można być zawsze pewnym u nich miłego przyjęcia, dobrego stołu i wygodnego łóżka.

Oile kawiarnie w Saigonie są przyjemne przez swoje położenie i to, że stanowią ogólny punkt zborny, o tyle jest nieznośnem wszystko, co w nich podają, a w dodatku stosunkowo do złego gatunku sprzedawanego towaru, ceny, względnie niby niskie, ¹⁾ są jeszcze zbyt wysokie: naprzykład butelka nędznego piwa płaci się dwa franki 50 centymów; szklanka wody z sokiem ochłodzonej w lodzie jeden frank. Otóż według francuskiego zwyczaju, że jedna osoba płaci za wszystkie należące do jednego kółka, ogólna summa rachunku bywa niekiedy znaczna. Praktyczni Amerykanie trzymają się innej zasady: u nich każdy płaci za siebie. W ten sposób niedelikatni nie szkodzą, a delikatni mniej się krepują. Co zaś do zwyczaju grania o zapłacenie rachunku za rzeczy spożyte, ten tak samo istnieje w Saigonie jak w Tulonie: biedak więc któremu cały wieczór szczęście w grze niedopisywało, częstokroć zmuszonym bywa zapłacić 15 lub 20 piastrow, co czyni około stu franków. Szczęśliwcy zaś, nigdy nieprzegrywający, nabierają przyzwyczajenia żyć przyjemnie na cudzy koszt.

O wpół do ósmej chwilowo pusto się robi w kawiarniach; każdy udaje się na obiad, pomimo jednak przypraw korzennych, mineralnych wód, soli pomagających do trawienia, nie ma się prawie nigdy apetytu. Około dziesiątej przekupnie wszelkiego rodzaju absyntów witają znów swych klientów, wybrzeże ożywia się nieco; ale ruch bywa już znacznie mniejszy, aniżeli przed obiadem: nie wszyscy powracają. Inspektorowie okoliczni udają się do swych wydziałów; officerowie kwaterujący na lądzie, albo pozostają w domu, albo idą do klubów; inni zaś, korzystając z nocnego chłodu, odbywają higieniczne niby przechadzki.

1) W Indjach i w Chinach, szczególnie w posiadłościach angielskich, ceny są prawie dwa razy wyższe.

Wtedy należy uczynić wycieczkę w dzielnice miasta zamieszkałe przez Chińczyków i Annamitów, wyglądające oryginalnie rzeczywiście tylko przy świetle latarni z kolorowego papieru.

Nazajutrz po przybyciu do Saigona, korzystając z uprzejmości jednego z towarzyszy, mieszkającego już w tem mieście od kilku miesięcy, wybraliśmy się na wędrowkę do wszystkich mniej więcej oryginalnych miejsc, które koniecznie widzieć należy, chcąc mieć pojęcie o charakterystyce kraju. Pierwszym przystankiem w tej pouczającej wycieczce była „Ulica kwiatów“ swą poetyczną nazwą tak wiele obiecująca. Niemalże też było rozczerzowanie, gdy już na samym wstępie poczuliśmy zapachy niemające nic wspólnego z wonnościami Arabii. Zresztą jak i w innych zakątkach dalekiego Wschodu zawód zupełny, widok przykry fizycznie i moralnie. Ulica Kwiatów — to kiszka długa od czterdziestu do pięćdziesięciu metrów, a zaledwo dwa metry szeroka, przyozdobiona płynącym przez sam środek brudnym, cuchnącym rynsztokiem. W dzień panuje tam zupełna cisza, zato wieczorem aż do późnej nocy wrze piekielny gwar i hałas. Tutaj zbierają się wszyscy Chińczycy z całej kolonii i z zapałem godnym wistocie lepszej muzyki, zabawiają się w wesołym towarzystwie grą na piszczałkach, gongach i tam-tam. Zresztą w tym zaułku najgorszego rodzaju nie więcej zachęcającego do oglądania. Brudne szulernie, w których sapeki leżą stosami przy świetle kopcającej lampy; z poza drewnianych krat wyglądają blade dziewczyny z kwiatem we włosach, ubrane w bluzy i białe perkalowe szarawarki naszywane błękitnymi tasiemkami, — nędzne istoty. Na takie obrazy patrzy się z rodzajem wstrętu i ogarnia człowieka gwałtowne pragnienie odechnienia innem powietrzem; wychodzi się też z pospiechem.

Udając się z Ulicy Kwiatów do dzielnicy kupców sprzedających wyroby chińskie, japońskie, oraz przedmioty ze złota i srebra, nader delikatnej roboty, przechodzi się koło targowego placu, zajętego przez Annamitów. O tak późnej godzinie pusto tam zupełnie; ale rano i prawie przez dzień cały pełno wszelkiego rodzaju produktów kochinchinjskich. Sklepy z drobnymi fraszkami pociągają ku sobie; lecz, mając być w Chinach a na tępnie w Japonii, nie trzeba się spieszyć i kupować w Saigonie rzeczy, które później na miejscu, z kądem pochodzą, dostanie się w daleko lepszych gatunkach, za połowę tej ceny. Zatrzymaliśmy się też chwilę tylko, rzuciwszy pobieżne spojrzenie na wystawy sklepów, zajęci daleko więcej widokiem ulicznego ruchu, aniżeli świetnem przyozdobieniem na pudełkach z Nangasaki, wykonanych z laki, lub cackami porcelanowymi z kantonu.

Kilkakrotnie od chwili naszego przybycia słyszeliśmy wymawiany wyraz *bakuan*. Uprzejmy nasz przewodnik wyjaśnił nam jego znaczenie i obiecał zaprowadzić do jednego z najslawniejszych tego rodzaju zakładów na ulicę Montebello. Znużeni wpływem kochinchinjskiego klimatu, a mając przyrzeczony wypoczynek w wygodnych trzcinowych fotelach, zakończyliśmy coprędzej naszą po sklepach włóczęgę.

Bakuan, ruleta bez rulety, a spieszę dodać, zakazana już od lat wielu, stanowiła w owym czasie w Saigonie jedną z najstraszniejszych plag moralnych. Była to otchłań pochłaniająca co wieczór uzbierane oszczędności większej części francuskich officerów; przyczyna wielu przykrych zająć, źródło niejednego nieszczęścia, *bakuan* łączył powab wykwintnego urządzenia z pokusą szulerni. Niejeden też, pociągnięty tam tylko myślą spędzenia przyjemnie jakiejś godzinki, na wygodnym fotelu pod chłodną werendą, i wypalenia cygaretki Manilla na koszt krupierów, wychodził jednak oswobodzony z piastrow, które mu obciążały kieszenie, gdy tutaj wstępował. *Bakuan* przy ulicy Montebello znajdował się w obszernej sali, powabnie przybranej, do której wchodziło się przez długą werendę, zastawioną znaczną liczbą foteli i łóżek bambusowych. Światło dawała mała lampka, ukryta w papierowej latarni; milczenie i tajemniczość.... W głównej sali, na samym prawie środku stał duży stół mający kształt prostokąta; z jednej jego strony przed stołem miedzianej monety, z porcelanową filiżanką w prawej ręce

przewodniczył opasły Chińczyk, niezupełnie starannie ubrany, a wokoło pojedynczo lub gromadkami gracze, ciągnący stawki.

Podczas gry pomiędzy gośćmi krążyło dwóch lub trzech służących, przybranych w jasno błękitne lub zielone kaftany, roznosząc chłodzące napoje. My tymczasem postaramy się obzajnić czytelnika z mechanizmem tej maszyny na oskubywanie indyków.

Na dwóch końcach stołu umieszczone były tablice z liczbami, służące do kładzenia stawek; pośrodku stos pieniędzy. Krupier, a niekiedy nawet jeden z grających, zabierał porcelanową filiżankę i, zagłębiwszy ją w stosie sapeków, 'zwolna' wysypywał z niej po dwa pieniążki. Byłoby zapewne daleko łatwiej odliczyć wprost zacerpniętą sumę, gdyż cała gra polega ostatecznie na tem, czy liczba wypadnie parzystą lub nieparzystą; ale opisany powyżej sposób ma na celu pozostawienie grającemu czasu do namysłu i położenie stawki. Jaka liczba pozostanie pod miseczką? Oto najważniejsze pytanie. Wzruszenie przedłużają umyślnie nader powolnym odliczaniem sapeków. Przez cały ten czas aż do chwili gdy bankier wymówił w narzeczu synów Państwa Niebieskiego: *Nikt już nie bije*, można było stawiać pieniądze; dozwalało się nawet potrząsnąć filiżanką by z dźwięku monet domyslić się liczby pozostającej. Mówiono, że gracze wprawni rzeczywiście dopomagali sobie tym małym podstępem; lecz pobłażliwość Chińczyka na tę samowolność dowodziła, że i najwprawniejsi mylili się tak dobrze, jak i wszyscy inni gracze. Była to gra bardziej od innych wyzyskująca, gdyż bankier wygrywającemu stracił zwykle dziesięć od sta, z czego wynika, iż przy jednakowych zawsze stawkach, przypuszczając nawet jedną wygraną na każde dwie stawki, co wcale nie jest rzeczą pewną, można się zgrać zupełnie. Tego wieczora grałem bez żadnego wyrachowania, jak prawdziwy nowicjusz, ale z mocnym postanowieniem nieprzegrania więcej nad jednego piasra; szczęście posłużyło mi jakos i ograłem grubego Chińczyka na dwadzieścia piasrów. Chińczyk spodziewał się zapewne odebrać mi je z procentem nazajutrz, dlatego nie zwracał uwagi na grę moję; zawiódł się jednak, gdyż nigdy więcej nie próbowałem szczęścia i przychodziłem tam tylko w charakterze widza.

W czasie naszego przybycia do Saigonu owe domy gry miały już policzone chwile istnienia, ani się tego domyslać; w kilka miesięcy później zamknięto je z rozkazu rządu, a rozporządzenie to tem było niezbędniejszem, iż, niwecząc pokusę do fatalnego nałogu dla wielu officerów, usuwało zarazem i źródło niemoralnego dochodu dla skarbu.

Gdyśmy siedzieli pod werendą, oczekując oznaczonej godziny udania się na okręt, zbliżył się do nas Chińczyk wykwinął nieco ubrany i podając cygara, zapytał: czy nie chcemy napić się czego?—Mamy na rozkazy panów — rzekł — nieszczęśliwe piwo i niezłą limonadę.—Swoboda, z jaką się wyrażał ten wyznawca Konfucjusza, tak nas zdziwiła, iż w pierwszej chwili sądziliśmy, że to może jakaś mistyfikacja urządzona dla nas przez przebranego Francuza, lecz wkrótce przekonaliśmy się o mylności naszych przypuszczeń.

Chińczyk nasz powrócił niezadługo, poprzedzając dwóch służących, którzy niesli tace, zastawione szklankami i butelkami.

— Nie jesteś ty Chińczykiem! — rzekłem do naszego amfitryona, w chwili, gdy mi podawał szklankę mrożonej limoniady.

— Owszem, rodowitym Chińczykiem — odparł — tylko wychowywałem się we Francji, u Jezuitów w Montgré; jestem też chrześcijaninem i noszę imię Józef.

— Więc cóż tutaj robisz?

— Wuj mój jest właścicielem tego zakładu — przychodzi tutaj niekiedy dla rozrywki; ale grać mi nie obchodzi: pełnię obowiązki tłumacza w zarządzie spraw wewnętrznych.

To spotkanie dało nam wyborną sposobność doowiedzenia się o wielu szczegółach, dotyczących tak samego Saigonu, jak i zwyczajów annamickich. Józef powiedział nam również, że wuj jego miał udział w jednym z większych teatrów chińskich, obiecał nas tam zaprowadzić, na co zgodziliśmy

się chętnie, umawiając się na pierwszy wieczór, w którym wolni od obowiązków służby, będziemy mogli zebrać się razem.

Była już jedenasta godzina; białe jaszczurki śpiewały, mustiki brzęczały nad uszami; ciężkie, przejęte wilgocią powietrze orzeźwiały niekiedy powiew dobroczynnego wiatru. Niedbale wyciągnięci na bambusowych łózkach, jedynych rzeczach możliwych i przyjemnych w tych gorących krajach, w stanie półsennej, słuchaliśmy gawędy naszego nowego przyjaciela; z wielką trudnością przychodziło nam utrzymywać go na gruncie rzeczy miejscowych — jedynym przedmiocie interesującym nas w danej chwili — i wymódz, aby nam nie mówił o Francji, Lyonie, Montgré i wielu innych rzeczach, o których pocziwy Chińczyk widocznie lubiał wspominać.

Pośród tysiąca szmerów i odgłosów, czyniących noc w okolicach podzwrotnikowych bardziej niemal ożywioną, bardziej ruchliwą niż dzień, od czasu do czasu słyszeliśmy wyraźnie dochodzące dźwięki żalonych a dzikich śpiewów, to bardzo głośne, to znów przytłumione, z towarzyszeniem piekielnej jakiejś muzyki.

— Czy słyszysz? — zapytałem mego interlokutora.

— Słyszę — odrzekł — i rozumiejąc doskonale, iż pragnęłam objaśnienia — To pogrzyb annamicki — dodał — jesteśmy tutaj w sąsiedztwie ich cmentarzy-ska.

— Czy nie moglibyśmy zobaczyć tego obrzędu?

— Rzecz niemożliwa. — Najpierw, chcąc się dostać na miejsce tej kocięj muzyki, trzeba by nam pokonać wiele trudności, obejść znaczną przestrzeń, aby wyjść na drogę prowadzącą do Szolen, a ciągnącą się wzdłuż doliny grobowców, lub też na gościniec wojskowy wprost ją przecinający. Można by jeszcze udać się wprost przez pola; ale noc taka ciemna; możemy zbłądzić pośród ryżowych łąk, albo się skapać w którym z tak licznych w tym kraju strumieni; w dodatku Annamici, wielce niezadowoleni z naszej obecności, przerwaliby z pewnością obrządek.

Racjonalne dowodzenie Józefa nie dopuszczało dalszego nalegania; po krótkiej więc jeszcze przechadzce po mieście, powróciliśmy na okręt, przypominając Chińczykowi o przyrzeczeniu zaprowadzenia nas do teatru.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Mało upowszechnionym jest u nas, dający wyobrażenie o ogólnym ruchu umysłowym świata, miesięcznik francuski *Polybiblion*, *revue bibliographique universelle*. Wychodzi on od r. 1868 w Paryżu, staraniem osobnego Towarzystwa Bibliograficznego. Składa się z dwóch części: literackiej i technicznej; pierwsza obejmuje większe syntetyczne przeglądy kilkudziesięciu niekiedy dzieł jednorodnych, krótkie sprawozdania z nowych książek, buletyn rzeczy bieżących, rozmaitości, kronikę i osobny dział zapytań i odpowiedzi; druga podaje wykaz najważniejszych książek, oraz wartość dwustu przeszło czasopism poważnych, i przeglądów wydawanych we wszystkich językach. Część literacka zostaje pod redakcją p. p. de Beaucourt, jako prezydenta, oraz p. p. Anatola de Barthélemy, hr. de Puymaigre, Renata de St. Mauris i Maryusza Sepet. Sekretarzem redakcji jest A. de Bernon. Część techniczną, t. j. właściwą bibliografią, układa p. Gustaw Pawłowski.

Dział literacki wydawnictwa zaleca się głównie owymi syntetycznymi artykułami, podającymi charakterystykę całych działów pracy i wytwórczości umysłowej. Powieść, historia, sprawy i dzieje Kościoła, językoznawstwo, filozofia zmieniają się jedne za drugimi, stając przed czytelnikiem w treściwych, sumiennie a żywo kreślonych obrazach. Dla ogólnego wykształcenia artykuły te rzetelną

posiadają wartość; utrzymują umysł w ciągłej wiedzy o tem, co i jak dokonywa się myślą i piórem. Oczywiście rzeczy francuskie mają pierwszeństwo. W czterech zeszytach roku bieżącego, do Kwietnia, znajdują się *Opowiadania, romanse i nowelle; Hagiologia i żywoty budujące; Najnowsze rzeczy o Piśmie ś-tym; o wyższem nauczaniu*.

Część bibliograficzna w zakresie książek rozpada się na sześć działów: teologia, prawoznawstwo, nauki i sztuki, literatura w ścisłom znaczeniu (*belles lettres*), historia i książki dla młodzieży. Do nauk i sztuk zaliczają się: 1) filozofia i moralność, 2) wychowywanie i nauczanie, 3) nauki polityczne i społeczne, skarbowość, przemysł, handel, statystyka; 4) fizyka, chemia i meteorologia; 5) kosmogonia, antropologia, *sciences naturelles*; 6) rolnictwo, ogrodnictwo, etc.; 7) medycyna; 8) matematyka, sztuka wojskowa, hydrografia, żegluga; 9) mechanika, inżynieria, technologia, sztuki i rzemiosła; 10) miscellanea; 11) sztuki piękne i przemysł artystyczny. Do działu *Belles lettres* a nie *sciences*, jakby być powinno, włącza redakcja filologią i lingwistykę, a do historii — podróżę. W tym ostatnim dziale również występuje historia biblijna, hagiologia, biografia kościelna, historia zakonów i misyj. Osobny podział wyróżnia z całości *Questions du jour*. Z Historii Francji wydzielona jest *provincjonalna*.

Historia cywilizacji, bardzo właściwie wyodrębniona, prowadzi za sobą *Starożytności*, archeologię, numizmatykę, epigrafikę. Znajduje się nawet osobny podział: *Noblesse et chevalerie*.

Biografia jest ogólna; obejmuje wszystkie osobistości wybitne, bez względu na rodzaj ich działalności. Niezależnie od *Polybiblionu* pożyteczną tę nowość zaprowadził już u nas w swoich *Wiadomościach bibliograficznych* p. Paprocki.

Książki wykazywane są podług nazwisk autorów, ale nie alfabetycznie, co utrudnia poszukiwanie i czasami będzie musiało być zmienionem na lepsze. Każda książka ma numer bieżący.

Wykaz zawartości czasopism idzie krajami. Osobną całość stanowi Francja, osobną zagranice. Tytuły artykułów w pismach zagranicznych niemieckich, słowiańskich i greckich podaje redakcja w przekładzie francuskim, czego pochwalić nie można. Jeden tylko przegląd alzacki używa praw wyjątkowych. Przy każdym niemal czasopiśmie powiedziano: gdzie, w jakich odstępach czasu ono wychodzi i ile na rok kosztuje.

Od steru redakcyjnego, przy którym stoi Polak, możnaby wymagać rychlejszego i dokładniejszego, niż obecnie, uwzględniania literatury polskiej. W dwóch pierwszych zeszytach z r. b., jedynym dziełem polskim wprowadzonym do bibliografii powszechnej jest *Liber beneficiorum* Łaskiego, w wydaniu księży Korytkowskiego i Łukowskiego (Nr 726). Czyliż poza temi dwoma tomami drukarnie polskie nie już godnego uwagi powszechnej nie wydały? Wydawnictwa Akademii przynajmniej mają prawo do miejsca w *Polybiblionie*, a przecież i poza Akademią zjawiają się u nas rzeczy daleko bardziej na podanie do wiadomości świata uczonego zasługujące, niż wiele dzieł i artykułów obecnie na rejestra wciąganych. W dziale czasopism nie zna redakcja nic świeższego nad *Ateneum*, *Bibl. W.*, *Niwę* i *Prz.* *Łwowski* z Lipca, a *Prz. polski* i *Przewodnik naukowy* z Sierpnia r. z. Czyżby *Przewodnik* Wisłockiego potrzebował aż pół roku czasu na to, aby dojść z Krakowa do Paryża?

W tych zeszytach *Polybiblionu* z r. b. które posiadamy, spotkaliśmy ślady następujących dzieł lub artykułów, bądź dotyczących, *respectively* mogących dotyczyć, życia i umysłowości polskiej, bądź też pisanych przez Polaków:

Barin. La question antisémitique en Gallicie, w *Revue politique et littéraire* z dnia 24 Grudnia 1881 r.

Circourt, le Comte de, w *Revue britannique*, z. XII r. 1881.

Cosnac. Souvenirs du règne de Louis XIX, T. VIII. Filiberto Emanuele e il re di Polonia, 1574 r., w *Curiosità di storia subalpina* (Turyn i Florencja) z. XVIII r. 1881.

Grünhagen. Geschichte d. ersten schlesischen Krieger, T. II.

Hartfelder. Konrad Celtes i grono Humanistów w Heidelbergu (tytuł niemiecki nie podany), w *Historische Zeitschrift*, z. I r. 1882.

Kraszewski J. I., przekład Hrabiego Brühla w *Le Contemporain*.

Liv-Est-und Kurländisches Urkundenduch, T. VII.

Łaski J. Liber beneficiorum archid. Gnesnensis, T. I i II.

Mossmann X., Matériaux pour l'histoire de la guerre de 30 ans, w *Revue d'Alsace*, z. IV r. 1881 i I r. 1882.

Nitschmann. Pan Tadeusz Mickiewicza, w *Magazin f. d. Literatur d. Auslandes* z d. 10 Grudnia 1881 r.

Pierling. Grégoire XIII et Bathori (tak), w *Revue des questions historiques* (Paryż), z I r. 1882.

Regesta archiepiscopatus Magdeburgensis, cz. II.

Spasowicz Wł. Margrabia Wielopolski etc. (porosyjsku), w piśmie *Zwiastun Europy*.

Sprawozdania o literaturze polskiej: w *Continental literature* in 1881, *Athenaeum* z dnia 31 Grudnia 1881 r.

Rassegna delle letterature straniere, w *Nouva Antologia* (Rzym) zeszyt Grudniowy 1881 r.

Napisane przez Polaków:

Napolski. Życie i dzieła Ponza Capduoill, w *Literaturblatt für germanische u. slavische Philologie*, zeszyt grudniowy 1881 r.

Ostrowski A. La Burrasca, powieść, w *Rivista Europea* (Florenca).

Zaborowski. De l'âge de la formation pampéenne, w *Revue scientifique* z d. 21 Stycznia 1882 r.

— Les migrations des animaux et le pigeon-voyageur, w *Bibliothèque utile Germer Baillière*.

W roku bieżącym rozpoczął się T. XXXVI *Folybiblion*. Rocznie wychodzi przeszło sto arkuszy ścisłego druku.

Krótką Grammatykę Polską. Ułożył *Wincenty Dawid*. Wydanie piąte, pomnożone i poprawione. Warszawa i Lublin. Nakład i własność Autora, 1882 r. Druk Wł. Kossakowskiego w Lublinie, str. IV i 165, in 12-o.

Popularne to dziełko powodzenie swoje zawdzięcza przystępności i zwięzłości, z jaką wyłożona jest w niem składnia. Naukowej wartości *Grammatyka* p. Dawida wcale nie posiada. Autor jej powoduje się doświadczeniem i nawykiem. Praktyczny cel: nauczania tego, co konwencjonalnie, według uznania jego, jest najlepszem, usuwa mu z przed oczu pytanie: czy istotnie niema już nic lepszego nadto, czego on sam naucza? Prawdla podawane są dogmatycznie; tych bowiem racyj, jakie autor w wielu miejscach *Źródłowski* swego podaje, w żaden sposób za wyrozumowane uznać nie podobna. Najgorszą częścią książeczki jest ortografia, w której znajdujemy naprzykład zasadę, że dźwiękijotowe inaczej oddawać się powinny literami, gdy zachodzą na końcu, a inaczej, gdy w środku wyrazów (str 72). Odmiany ze względu na wyjątkowość swoje od prawideł niedostatecznie lub błędnie przedstawione. Dobrą w praktyce jest metoda autora, aby każdą zasadę wrażyć w umysł dziecka przez poprawianie błędów: dziecko zyskuje w ten sposób granice, w których chcąc nie chcąc trzymać się musi, te zaś granice właśnie określają samo prawo języka.

W składni znajdzie się niejedna rzecz dobra, taka, której wyższa, prawdziwa już nauka burzyć nie będzie potrzebowała. Wykład: *Znaczenia liczbowego siedmiu przypadków rzędu*: (str 100/4) jest samodzielny, porządkowy i w ogóle dobry. Znać własną pracę autora w rozdziale o *urabianiu pierwiastku w różne części mowy* (str 57). Sam pomysł wprowadzenia takiego wykładu do grammatyki początkowej na uznanie zasługuje; ale w przypisku o zakończeniach i kształtach wyrazów

(str 58/60) podjął autor ciężar nad siły. Potrzeba się bardzo w filozofię języka zagłębić, aby zadaniu takiemu podołać.

O całym dziełku powiedzieć można, że powstało ono, nie z bezmyślnej kompilacji, ale z własnego, samodzielnego myślenia autora; szkoda tylko, że myślenie to nie jest dość głębokiem, dość naukowem i z jednym tylko *Kopeczyńskim* rozumowe pokrewieństwo swoje uznając, wypiera się tego, co najnowsze badania, twierdzenia i wnioski logiczne na polu językoznawstwa naszego wydały. Wstręt od nowości posuwa autor tak dalece, że nie przyjmuje nawet użytej przez *Kopeczyńskiego* nazwy przypadków w imionach (Mianownik, Dopełniacz, Celownik etc.), a nie poprzestając na banalnych nazwach liczbowych, wprowadza inne, których nie spotkaliśmy w żadnej wybitniejszej grammatyce polskiej (str. 9/10). Natomiast dobre są nazwy w miejsce łacińskich *praedicatum* i *copula*—„opowiednik“ i „łącznik“.

Oryginalną radę daje p. Dawid uczniom swoim. Oto „pani“, „kuźnia“, „Francya“ mogą się kończyć w *Bierniku* liczby pojedynczej albo na *e*, albo na *q*, według tego, co się potrzebnem dla miłośników okazuje. Jeżeli wypadnie „panią“ złączyć z „siostrą“, to powiemy: „panią siostrę“, a jeżeli z „dobrą“ to „dobrą panię“ (str. 14). Takich zasad żaden język na świecie mieć nie może.

Zaimki, nie pod względem odmian grammatycznych (str. 27), ale ze względu na istotę swoją, na rolę, jaką w wyrażaniu myśli ludzkich spełniają, są albo rzeczownikami albo przymiotnikami. Niewybaczonem jest dopuszczenie w *grammatyce* postaci „co go, — co mu“ zamiast „którego, któremu“ (str. 29). Trudno zrozumieć określenie: „Słowo oznaczające przymiot działający z zakończeniem słowa być, jako łącznika, mieści w sobie opowiednik i łącznik zarazem“ (str. 46). Co tu z czem działa?

P. Dawid za wiele od grammatyki wymaga. Na samym wstępie (str. 1) twierdzi, że „grammatyka jest nauka (q) języka czyli mowy ludzkiej, której zasady wyjaśnia“. Z grammatyki samej nikt się języka nie nauczy; najzdolniejszy nawet potrzebuje mowy żywej: pisanej, potrzebuje słownika. Grammatyka uczy jakim być powinno to, co literatura i życie pod naukę bezwiednie dostarczają. Nie do nauki, ale do umiejętności, do umiejętnej wiedzy o danym języku, prowadzi wszelka grammatyka. Mógł być autor bezpiecznie poprzestać na określeniu: „grammatyka wyjaśnia zasady języka“

OD WYDAWCY.

„*Bluszcz*“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na dotychczasowych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 1-szy powieści pod tytułem: *Droga do serca*.

BEZPRZYKŁADNIE ZNIŻONA CENA.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

przekład KS. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

z komentarzem podług ALLIOLI

ozdobione 230 drzeworytami

podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ,

w wielkich dwóch tomach

Cena bezprzykładnie zniżona

Obecnie tylko Rub. sr. 18—(dotychczasowa cena Rs. 32), z przesyłką Rs. 20.

W oprawie w płótno angielskie Rs. 24, z przesyłką Rs. 27.

W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzanym grzbietem Rs. 27, z przesyłką Rs. 30.

TREŚĆ. Inde Irae, (poezya).—Giuseppe Garibaldi (życiorys), przez M. I.—Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Юня 1882 года.